REJESTR DOTYCZY:

ŁUBIENSKI Henryk

s/c hr. Tadeusza/1872-1942/ i Marii

z d. z Popielów

± 26 maja 1901 w Zassowie n. Dębicą

kraj: MAŁOPOLSKA WSCH.

-† 17 lipca 1960 w Berlinie

kraj: NIEMCY

pochowany: Zassowie w Polsce

nr grobu:

Nr rejestracyjny

218 / 60

Nota zamieszczona:

w tomie I

czesci pierwsza

Indeks

DZIENNIKARZE

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

Uwagi:

Nota:

Przypisy:

1817 ~~1311~~ - syn z pierwszego małż. z Krystyną Młodecką - Jerzy
~~1407~~
~~1760~~

Źródła i bibliografia:	**znak rozpoznawczy**
Dz.Pol. .7.6o - nekrolog i wspomnienie	18/ .VII.6o/
RO34- rezerw.123.6o9, ppor.rez. 5 p.strz.kon. /* 26.5.19o1/	121/34/
Literatura Polska na obczyznie t.I.235,t.II.11o	111/I i II/
Kultura nr 11 z r.196o W.A.Zyszewski" Henryk Lubienski"	28(~157)
PSB tom XVIII.484 - życiorys	~~202-4~~. 119/XVIII.484/
Armorial de la Noblesse Polonaise Titrée s. 242	~~xxxxxx~~. 1o1/242/

Henryk Łubieński

Henryk Łubieński urodził się w maju 1901 roku. O sześć lat za późno. Gdyby się urodził w 1895 roku, byłby na pewno, jako młody galicyjski maturzysta czy student (akademik, jak się mówiło w Krakowie) wstąpił do Legionów, i automatycznie oczekiwałaby go między obu wojnami kariera, która stała się udziałem członków tej formacji wojskowej. Ale jako trzynastoletni chłopak nie mógł się dostać do Kadrówki. Dla ludzi pokolenia Łubieńskiego droga do kariery politycznej została sztucznie zamknięta. Pokolenie zaledwie o parę lat starsze zajęło wszystkie stanowisko znacznie przedwcześnie. Do śmierci nie zamierzało się z nikim dzielić monopolem władzy. Stąd dla młodych ludzi, którzy w latach 1926-39 doszli do wieku męskiego i z usposobienia, tradycji rodzinnej, upodobań, wykształcenia — a jednym z nich był właśnie Łubieński — marzyli o karierze politycznej, nie było normalnego ujścia dla normalnych, właściwych ambicyj. Było to pokolenie skazane przez zły los i złe rządy na wegetację, na bezrobocie, na zawody życiowe, na bunt albo malkontenctwo.

◆

Łubieński pochodził z rodziny karmazynów, która, mimo rekordowej ilości biskupów i dwóch interrexów, nie weszła do zamkniętego koła magnaterii. Pewne niuanse, dzisiaj zapomniane i komiczne, dzieliły go od szczytów socjety polskiej. Znacznie bardziej od tych snobistycznych anachronizmów zaciążył na Łubieńskim upadek finansowy całego ziemiaństwa galicyjskiego: klasa ta, wszechwładna do 1914 roku, w ciągu kilku zaledwie lat powojennych zubożała do niepoznania, ofiara zbyt licznej rozrodczości i warunków ekonomicznych, których nie była w stanie zrozumieć. W wypadku Łubieńskiego

Śp. Henryk Łubieński

Małopolska

Henryk Łubieński, ur. w Zassowie w Małopolsce Wschodniej ukończył studia w Krakowie. Redagował potem przez kilka lat katolickie pismo w Paryżu.

Miał prawdziwy nerw dziennikarski. Został warszawskim korespondentem „Słowa" wileńskiego. Na pierwszej stronie „Słowa" ukazywały się codzień jego znakomite: „Telefonem z Warszawy". Odsłaniał w nich kulisy intryg wśród góry sanacyjnej, niekończące się gierki pomiędzy Mościckim, Kwiatkowskim, Rydzem i Beckiem. Był najlepiej poinformowanym (od kuchni) dziennikarzem w Polsce. Jego „telefony" były przedrukowywane skwapliwie przez warszawską prasę południową. A służbisty Sławoj skonfiskował za nie nieraz „Słowo".

Podczas wojny Henryk Łubieński pracował dla władz polskich we Francji Vichy i w Madrycie. Ostatnie lata spędził w Berlinie jako korespondent polskiej sekcji Radia Wolnej Europy.

Łubieński był dwukrotnie żonaty; pozostawił syna z pierwszego małżeństwa i córkę z drugiego.

Pisał dobrze, barwnie, żywo, ale pisania artykułów nie znosił. Jego specjalnością było zbieranie wiadomości, tropienie sensacji, ukazywanie kulis polityki. Miał dar zawierania znajomości, utrzymywania „kontaktów". Gładki, sympatyczny w obejściu, znał nieprawdopodobną ilość ludzi. Nie był zazdrosny! Będzie Go nam brakować we wciąż kurczących się szeregach dziennikarzy.

K. Z.

doszedł warunek specyficzny i dość niezwykły: oto jego ojciec, Tadeusz Łubieński, właściciel Zassowa pod Dębicą, był, jak się to wówczas mówiło, chłopomanem. Zamiast łączyć się z bracią ziemiańską pod egidą stańczykowskich ekscellencyj, Tadeusz Łubieński zerkał w kierunku ludowców i mandatu poselskiego z ich ramienia: i na starania o ten mandat poświęcił znaczną część znacznej kiedyś fortuny. Lecz człowiek ten, miły i nawet uroczy, nie był tęgą głową polityczną: i obok sympatii do ludu jeszcze silniej u niego grało oddanie sprawie Kościoła. Trudno się temu było dziwić — obok atawizmów trzeba również uwzględnić, że trzy siostry Tadeusza Łubieńskiego wstąpiły do Urszulanek, i jedna z nich bodaj że doszła do wielkich godności w tym Zakonie.

Tak więc Tadeusz Łubieński, ojciec Henryka, stał się wymarzonym narzędziem dla ambicyj tarnowskiego biskupa, księdza Wałęgi. Miał ten biskup jakieś chłopskie porachunki, jak to bywa wśród sąsiadów, z Witosem, i z chłopską zaciętością zaczął go zwalczać, tworząc mu na przekór konkurencję w postaci stronnictwa katolicko-ludowego. Niby to, że Witos był antyklerykałem, co było nieprawdą, że był masonem, co było wierutnym fałszem, że był farmazonem etc. Tadeusz Łubieński finansował ponad stan tę partię katolicko-ludową, która nigdy poza okręg Tarnów-Dębica nie sięgnęła, finansował ją ponad możność i miarę, mamiony mirażem mandatu poselskiego. Mandatu tego nigdy nie zdobył. Ale ta okoliczność wpłynęła na umysłowość jego synów. Henryk, najzdolniejszy z nich, był od kołyski przeznaczony do kariery politycznej, i od młodości marzył o mandacie poselskim. Perypetie ojca wpłynęły równie silnie na takie ukształtowanie się jego ambicyj, jak i tradycje galicyjskie. Marzenia parlamentarne były zawsze słabo zakorzenione w b. zaborze rosyjskim — o pruskim nie mogę mówić, bo znałem go zbyt mało. Ale w Małopolsce, zwłaszcza Zachodniej, były one żywe i autentyczne. Henryk Łubieński wyrósł w tych nastrojach, i poświęcił ambicji polskiej pierwszych dziesięć lat swego aktywnego życia. Dopiero po wyborach 1935 roku z tych ambicyj zrezygnował, zdając sobie sprawę z całej fikcyjności sejmu ozonowego. I, dziwnym trafem, dopiero jego młodszy brat — w jakże odmiennych i nieprzewidzianych warunkach — miał w karykaturalnej epoce i sytuacji zrealizować ambicje poselskie ojca i brata.

Próbuję rysować nie tylko portret przyjaciela, ale jeszcze bardziej epoki. Jak wszyscy, Henryk Łubieński, był dzieckiem swej epoki, w pewnym stopniu także swego środowiska i otoczenia. Jak wszyscy, miał swemu ,,milieu'', wychowaniu, swym antycedensom dużo do zawdzięczenia i niejedno do zarzucenia. Nie chcę koloryzować, ani pisać panegiryku. Uderzała mnie zawsze fragmentaryczność wykształcenia Henryka Łubieńskiego, dziwna u człowieka, który zdał maturę u św. Jacka w Krakowie i uzyskał stopień Dra Praw na U.J. Prawda, że jego studia przypadły na lata wojenne, a studia wyższe na lata

bezpośrednio powojenne. Ale jednak z gimnazjum klasycznego Łubieński nie wyniósł ani gruntownej znajomości łaciny, ani porządnego humanistycznego, czy choćby polonistycznego, podłoża. Stąd, jako publicysta, nawet jako dziennikarz, był nierówny: czasem napisał coś z talentem, czasem najprostsze zdanie wychodziło mu niezgrabnie i chropawo. Podobnie wiedzy prawniczej, mimo tytułu doktorskiego, Łubieński naprawdę nie nabył nigdy. Padł w ten sposób ofiarą szkoły polskiej i polskich uniwersytetów, które i przed wojną nie umiały — a cóż dopiero dzisiaj! — przycisnąć młodzieży do książki, wyżyłować ją jakby wyżymaczką, zmusić do straszliwie wytężonej i systematycznej pracy, jak to czynią po dziś dzień uniwersytety francuskie i niemieckie (angielskie wcale, przynajmniej, jeżeli chodzi o studia nieprzyrodnicze). Prawda też że Łubieński nie był z usposobienia intelektualistą. Wszystko co umiał — a umiał i rozumiał wiele — zawdzięczał raczej szkole życia, jak studiom. Z domu wyniósł dobre wychowanie, gładkość i zręczność w obyciu, gust do polityki i jakiś realizm, wyczucie rzeczywistości, niechęć do abstrakcji, do mędrkowania, do bujania w obłokach, do dogmatyzmu, które to cechy są tak typowe — i tak katastroficzne! — dla naszej inteligencji. Znałem sporo ludzi zdolniejszych od Łubieńskiego: znałem bardzo niewielu, którzy mieli jego dozę zdrowego rozsądku. I obaj Bocheńscy, i obaj Pruszyńscy, i przede wszystkim obaj Mackiewicze górowali zdolnościami nad Łubieńskim: ale wszystkim było niezmiernie daleko do jego trzeźwości. Łubieński wychował się w szkole życia. Nie był to typ książkowca: w rzeczy samej czytał niewiele, właściwie prawie wyłącznie gazety, czasami periodyki, choć miał nieoczekiwaną, a bardzo polską, predylekcję do poezji: Kochał za młodu Tuwima, później był jednym z pierwszych, którzy się zorientowali w wielkim talencie Gałczyńskiego, wreszcie, już po wojnie, był wiernym admiratorem madryckiego przyjaciela, Józefa Łobodowskiego, o którego niestrudzenie kruszył kopię.

Ten relatywny antyintelektualizm sprawiał, że Łubieński nie był człowiekiem ideologii ani fanatykiem partyjnym. Z domu wyniósł patriotyzm i katolicyzm: starszy jego brat zginął w czasie kampanii 1920 r., jego młodszy brat w armii krajowej w r. 1944, on sam walczył jako ochotnik w Małopolsce Wschodniej w ułanach jazłowieckich w latach 1919-1920, i już wówczas, jako gołowąs-maturzysta, dosłużył się Krzyża Walecznych i stopnia porucznika. Był to człowiek fizycznie odważny, choć przezorny: nie lubił się narażać niepotrzebnie, ale nigdy nie widziałem go w najmniejszym stopniu zdenerwowanym, czy to gdy wyruszał na front we Francji, czy w czasie bombardowań w Londynie, czy gdy wyjeżdżał do Berlina w przeddzień wybuchu wojny, czy znowuż gdy wracał do obecnego Berlina, gdzie, w razie awantury, mógł się znaleźć w ciężkiej sytuacji. Ale nigdy nie strugał bohatera. Uważał wojnę czy służbą wojskową czy ryzyko polityczne za normalną część życia, nigdy o swych

przewagach wojskowych nie opowiadał, ani też dla tak zwanego bohaterstwa nigdy nie miał nabożeństwa. Tak samo jego patriotyzm był pozbawiony wszelkich elementów rasizmu, które są zawsze wyrazem jakichś kompleksów niższości. Łubieńskiemu, podobnie jak wszystkim normalnym Polakom, nigdy nie mogło przyjść do głowy, że ktoś może go traktować jako członka niższej rasy, i stąd jego patriotyzm był spokojny, pozbawiony wszelkich momentów pyszałkowatości, nienawiści, zazdrości, podejrzeń. Był frankofilem, jak prawie cała młodzież mego pokolenia: to dopiero teraz — niestety! — stało się modne wśród młodzików polskich, wychowanych w Anglii, przyswoić sobie wszystkie antyfrancuskie kompleksy Anglików, z angielskim kompleksem niższości na czele, i wołać nie tylko w rozmowach, ale i w ,,Konturach'' Dziennika Polskiego w Londynie, że Francuzi są narodem skończonym, wypominać im w najgłupszy i najbardziej nietaktowny sposób ich porażkę z 1940 r., jakby nasza własna klęska wrześniowa upoważniała nas do rozdawania laurów i ciskania kamieniami. Poza tym Łubieński lubił Hiszpanię, gdzie spędził 10 lat, choć zdawał sobie sprawę z jej zacofania i kołtuństwa. W stosunku do innych narodów cechowała go głównie ciekawość. Wobec Żydów np. był idealnie neutralny: sam wolny od jakiegokolwiek rasizmu — jednym z najbliższych jego przyjaciół był Dr Ludwik Berger, dzisiaj poważny dziennikarz w Izraelu — nie uważał, by z tego tytułu nie wolno mu było utrzymywać przyjaznych stosunków z antysemitami, jak np. z Wojciechem Zaleskim z ABC, dzisiaj z radia madryckiego, choć ich metafizykę antysemicką uważał za idiotyzm. Podobnież wyśmiewał się z masonerii. Tradycyjnie, jak wszyscy w Galicji, był raczej antyrosyjski niż antyniemiecki, a raczej rozumiał, że Polska i Polacy nie mogą sobie na konflikt z Niemcami pozwolić. Mniej tradycyjne, jak na Małopolanina, było jego stanowisko wobec Czechów: przed wojną jeździł do Pragi i zdawał sobie sprawę — wbrew stanowisku ówczesnego rządu, a także znacznej części opinii, podjudzanej przez krakowskiego Ikaca z Rublem na czele — że kłótnia polsko-czeska nie miała cienia sensu. Podobnie wrodzona trzeźwość nie pozwoliła mu wpaść w naiwną pro-angielskość, która cechowała Rubens i cały rząd londyński, gdy przez rok pracował w ,,Sztabie Naczelnego Wodza'' w roku 1943; nieraz mi wówczas mówił: ,,Anglików nie znam, język angielski znam słabo, ale na nosa, nie mam żadnego zaufania, myślę, że w razie czego puszczą nas jak stary kalosz''. Nie trzeba było długo czekać, aż się te przewidywania sprawdziły.

Silniej niż nacjonalizm grał u Łubieńskiego katolicyzm. Zapewne nie był to ani pustelnik, ani święty, ani teolog. Ale Łubieński był nie tylko głęboko przywiązany do katolicyzmu, był on także, jak mało kto w moim pokoleniu i w moim środowisku, świadom znaczenia i roli Kościoła. To były rzeczy, które kochał prawdziwie i rozumiał instynktownie. Pod tym względem zachodziła między nami głęboka różnica. Wobec prostego plebana

stoję jakby wobec przybysza z Marsa: ani nie wiem jak się zachować, ani nie widzę mego interlokutora, jako człowieka, jako jednostki. Niedawno musiałem odbyć rozmowę z Arcybiskupem, i przychodziła mi z największą trudnością — nie wiedziałem jak prowadzić rozmowę, ciągle obawiałem się popełnienia nietaktu, nie wyczuwałem wcale reakcji na moje słowa. Łubieńskiego katolicyzm był tradycyjny, bez fanatyzmu, bez bigoterii, bez klerykalizmu, z akcentem na moment wierności dozgonnej — *mourir dans la foi Catholique, Apostolique et Romaine* (tak zresztą umarł) — ale subtelności teologiczne były mu obce, choć za młodu, pod wpływem Franciszka Potockiego, wówczas dyrektora Wyznań, popełnił książkę pod tytułem ,,Droga na Wschód Rzymu'' (niezdarny tytuł!), którą Kardynał Kakowski w swym bezmiernym nietakcie i niezręczności umieścił na indeksie! Natomiast Łubieński świetnie się orientował w mentalności przeciętnego księdza: wiedział doskonale, jak do niego podejść, jak zagadać, jak grać na nim, wiedział, że najsilniejszym instynktem u przeciętnego proboszcza jest to co Niemcy nazywają *Gueltigkeitskomplex,* chęć odegrywania roli, chęć zamanifestowania, że jest on pewną personą, odgrywającą pewną rolę, mającą prawo do pewnych honorów. Co do tego ostatniego punktu Łubieński podzielał to zdanie, ale jego siła polegała znowuż na jego trzeźwości: nie oczekiwał on że każdy kapłan będzie świętym, wiedział, jak bardzo ludzką instytucją jest Kościół w osobach swego duchowieństwa. Przy całym oddaniu Kościołowi, przy wszystkich wpływach rodzinnych, była też w Łubieńskim jakaś żyłka Józefinizmu, może odziedziczona po Feliksie Łubieńskim, który, jako minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, miał sobie również poruczoną pieczę nad stosunkami z Kościołem: i miałem zawsze wrażenie, że jeżeliby zdolnościom Łubieńskiego odpowiadało jakieś stanowisko w administracji państwowej, to przede wszystkim kierownictwo spraw wyznaniowych, a zwłaszcza stosunków z hierarchią katolicką. Giętki, zgrabny, układny, przyjazny, umiałby uniknąć starć i nieporozumień, a jednocześnie dyskretnie narzucać formy współżycia bardziej nowoczesne od nieraz archaicznych wyobrażeń, teokratycznych a jeszcze bardziej ciasno-nacjonalistycznych (z nienawiścią do Unitów włącznie), które w tych czasach przedwojennych były tak rozpowszechnione zarówno w episkopacie, jak zwłaszcza wśród naszego kleru.

Łubieńskiego kariera rozpoczęła się dopiero w 1927 roku, kiedy to został sekretarzem stronnictwa konserwatywnego, po Adamie Piaseckim, napuszonym i niemiłym intrygancie, który przeniósł się na stanowisko dyrektora biura Senatu, i tam do śmierci — w 1938 roku — wyżywał się w najgłupszych intrygach. Było to stanowisko i trudne, i niewdzięczne. Ogromna większość normalnej klienteli konserwatywnej znajdowała się w Polsce ówczesnej w szeregach Narodowej Demokracji, to znaczy w grupie, a później w grupach, które zarzuciły credo za-

chowawcze na rzecz demagogii, antysemickiej i antyniemieckiej, które nawet przestały wierzyć w ewolucję i zerkały w kierunku zmian rewolucyjnych, faszystowskich. Nawet znaczna część ziemiaństwa i wielkiego przemysłu wolała iluzje nacjonalizmu od konserwatywnej trzeźwości. Tradycji organizacyjnej konserwatyści nie posiadali żadnej: ich pozycja, zwłaszcza w Galicji, opierała się na wpływach ekonomicznych, na ustroju klasowym, na kontaktach z władzami, na opanowaniu namiestnictwa, wreszcie na niepisanym porozumieniu z uniwersytetem krakowskim. Polacy, jako naród, są jednym z najbardziej konserwatywnych na świecie: każda myśl o zmianie napawa ich wstrętem, są zbyt leniwi by lubić wszelkie nowinki, mają skłonność do godzenia się z każdym istniejącym ustrojem, a buntu intelektualnego, który jest przesłanką i warunkiem każdej prawdziwej ,,lewicowości'', nienawidzą z całej duszy, mianem ,,warchoła'' darzą każdego, kto nie powtarza bezmyślnie urzędowych frazesów. Slogany w rodzaju .,Bóg i Ojczyzna'', ,,silna władza'', ,,jedność narodu'', ,,sprawiedliwość społeczna'' i inne, które wszystkie razem nie znaczą absolutnie nic, zastępują nam myślenie polityczne. Do tego dołącza się niesłychany brak odwagi cywilnej u polityków. W prywatnej rozmowie wielu z nich daje niekiedy wyraz jakimś rozsądnym poglądom, ale w wypowiedziach publicznych frazes, sztanca, tani patriotyzm i demagogia, przymilanie się przesądom czy nawet zabobonom gawiedzi górują całkowicie. Tak więc mimo silnego konserwatyzmu Polaków, mimo faktu, że właściwie i Piłsudski, i Sosnkowski, i nawet Sikorski — mimo jego żyłki demagogicznej — nie mówiąc już o Auguście Zaleskim, byli konserwatystami, mimo silnych konserwatywnych sympatii ludzi takich, jak Witos i Rataj, a nawet Niedziałkowski, konserwatyści w Polsce byli zawsze partią słabiutką, omal kanapą.

W okresie sanacyjnym konserwatyści stali się członem BBWR, i to członem nie tyle najbardziej prawicowym, ile najbardziej liberalnym. Wbrew terminologii, prawicę BBWR stanowili ,,pułkownicy'', którzy czasami sięgali do arsenału demagogii lewicowej i antykapitalistycznej, ale za to, oczadzeni ,,ideologią'' władzy i siły, jaskrawo faszyzowali życie publiczne. BBWR był równie pozbawiony oblicza co Gaullistowska Union de la Nouvelle République. Ta ostatnia jednak, głównie dzięki samemu de Gaulle'owi, utożsamiła się niemal całkowicie z siłami francuskiego konserwatyzmu, odrzucając skrajności w postaci ,,nieprzejednanych'' zwolenników ,,Algérie Française''. UNR stała się tylko nową wersją, może tylko bardziej autorytatywną, mniej parlamentarną tradycyjnej francuskiej prawicy, *les Indépendents*. Rządy de Gaulle'a, jak wszystkie rządy autorytatywne, ale nie komunistyczne, i nie faszystowskie, stały się de facto rządami centroprawu. Innej możliwości dla tego typu rządów nie ma, jeżeli nie chcą się oni stoczyć do nizin faszyzmu. Niestety, Piłsudski tego nie rozumiał, a po nim Rydz rozumiał to jeszcze mniej. Stąd reżym sanacyjny, zachowywał

pozory pewnego radykalizmu społecznego, a pod tymi pozorami, pod tą etykietą, pod sztandarem — na zewnątrz — Miedzińskich, Poniatowskich i innych ,,lewicowców'', stawał się z roku na rok bardziej faszyzujący. Faszyzujący jest w wypadku polskim bardziej trafnym wyrazem, niż faszystowski, Jan III nie doprowadził ogrodów Wilanowskich do Wisły, myśmy nigdy żadnej myśli politycznej nie potrafili doprowadzić do jej logicznej konkluzji.

Łubieński nie miał talentów organizacyjnych, i stąd na sekretarza partyjnego wcale się nie nadawał. Był, jak mówią, Amerykanie, *a good mixer,* był doskonałym *contactman*'em — terminy amerykańskie same się nasuwają, gdy chodzi o określenie jego zdolności, częstych i cenionych na Zachodzie, niedocenianych i prawie że nieznanych u nas. Łubieński nie nadawał się na *whipa,* to znaczy na stróża prawomyślności partyjnej, nie nadawał się na *einpeitschera*. Byłby natomiast dobrym posłem, właśnie posłem ,,niezależnym'', to znaczy konserwatystą, strawnym a nawet lubianym w centrum i na lewicy: i w normalnych polskich warunkach parlamentarnych, które, sądzę, doprowadziłyby do rządów centrolewu, do gabinetu Rataj-Niedziałkowski (który, jak mi się dotąd zdaje, najbardziej by odpowiadał układowi sił politycznych w Polsce), Łubieński doskonale by się nadawał do uzupełniania takiej kombinacji na wpół lewicowej: znacznie układniej niż wszyscy znani mi endecy, tym bardziej niż Mackiewicz, mógłby zapewnić tradycyjnym elementom konserwatywnym jakiś udział w rządach i łagodzić ich niepokój przed kursem zbyt radykalnym. Takich polityków jest bardzo, ale to bardzo wielu na Zachodzie. Zapewne, nie są to nigdy osobistości historyczne, pierwszoplanowe. Ale świat nie może żyć samymi wielkimi ludźmi. Gdy myślę o wiceministrze ,,młodych'' konserwatystów (co prawda wymyślonym przez Ozon, a nie przez Konserwę), o nieszczęsnym Michale Wierusz-Kowalskim, który skończył karierę obrzydliwym spoliczkowaniem Raczkiewicza, czy też o innym przedstawicielu ,,młodych'' w rządach ozonowych, o prokuratorze Grabowskim, wówczas cała wyższość Łubieńskiego, i pod względem wyrobienia, i charakteru, i rozsądku, wychodzi doprawdy jaskrawo.

Jako sekretarz konserwy, Łubieński pracował pod wieloma handicapami. Przede wszystkim sama organizacja konserwy nie miała cienia sensu. Pełno tam było rad, komitetów wykonawczych, prezydiów, klubów poselskich, kół gospodarczych, pełno też było najrozmaitszych godności, prezesur i sekretariatów, i w rezultacie, jak zawsze bywa w takich wypadkach, nikt nie miał żadnych kompetencyj i funkcje stały się posadami, z lepszą czy gorszą pensją, ale bez właściwego zakresu działania i bez istotnego ciężaru gatunkowego. Mnogość instytucji sprawiła, że jedyną instancją w partii konserwatywnej był Janusz Radziwiłł, a jedyną formą działania — zaproszenie na śniadanie do księcia-prezesa.

Janusz Radziwił był człowiekiem poważnym, rozumnym i uczciwym. Byłby na pewno lepszym ministrem spraw zagranicznych od Becka, i należy żałować, że tej teki, którą mu Piłsudski po zamachu majowym proponował, i to przez dwa miesiące, nie przyjął. Miał on wrodzony umiar, trzeźwość, brak megalomanii, i narodowej i osobistej, był sceptykiem, w genialne inicjatywy nie wierzył, nie śpieszył się, nie marzył o tanich sukcesach, nie snobował się na nic i na nikogo, a są to wszystko zalety w polityce zagranicznej niezmiernie cenne. Z natury ostrożny i wstrzemięźliwy, byłby na pewno uniknął przesady i afektacji Becka w afiszowaniu rzekomej przyjaźni z Hitlerem czy Goeringiem, byłby znacznie bardziej stanowczo niż Beck sterował w kierunku jedynej dla słabiutkiego państwa (jak Polska) wskazanej polityki, a mianowicie w kierunku neutralności, byłby uniknął niepotrzebnych a nawet skandalicznych zadrażnień z Francją, byłby mniej dziecinnie oddawał się iluzjom przymierza z Anglią, byłby nawet bardziej dbał, niż Beck, o unikanie zadrażnień z Sowietami. Wątpię bardzo, by Radziwiłł zdołał uniknąć w ostatecznym rachunku wojny z Niemcami: Hitler był na to zbyt niemożliwym partnerem, koszt uniknięcia wojny byłby w oczach ówczesnej opinii — i nade wszystko rządzącej w Polsce kliki wojskowej — zbyt wysoki. Mimo wszystko sądzę, że w latach 1926-1939 Janusz Radziwiłł byłby zapewne najlepszym możliwym ministrem spraw zagranicznych: choć sam nie czechofil, byłby nam na pewno zoszczędził kompromitującej awantury anty-czeskiej.

Ale o ile Radziwiłł miał sporo danych na tradycyjnego dyplomatę dziewiętnastego wieku, wpatrzonego w równowagę sił i koncert mocarstw, o tyle wątpię, by miał on jakiekolwiek dane na przywódcę stronnictwa. Po pierwsze, był to człowiek bez istotnej ambicji politycznej, bez żyłki do pchania się na czoło, co zresztą oczywiście dodawało mu cech sympatycznych: nikt nie lubi ,,streberów''. Janusz Radziwiłł doskonale zdawał sobie sprawę, że swą pozycję, swe wpływy zawdzięczał urodzeniu, tytułowi, fortunie: stąd był jakby ospały, inicjatywy przejawiał mało, miał raczej bierną postawę wobec życia, niezadowolenie markował głównie milczeniem lub wyjazdem do ulubionej Ołyki, rzadziej już do podwarszawskiego Nieborowa. Jako człowiek rozsądny, zdawał sobie doskonale sprawę, że konserwatyści nie mogą ograniczać swego zasięgu do ziemiaństwa i wielkiego przemysłu, ale w praktyce był zupełnie niezdolny do odegrania roli polskiego Disraeli'ego. Rozumiał on, że antysemityzm osłabia front, jakże słabiutki, polskiego kapitalizmu, ale poza dobrymi stosunkami z Falterem nie umiał na to znaleźć środka zaradczego. Rozumiał, jak bardzo byłoby pożądane ściągnąć do szeregów konserwy inteligencję pochodzenia chłopskiego, ale znowuż, poza zapraszaniem na obiady kilku ludowców czy eks-ludowców, nie umiał dać temu praktycznego wyrazu. Gdy dzisiaj patrzę na niestrudzoną energię, właśnie partyjną, właśnie organizacyjną Adenauera, który umie tworzyć na gruzach dawnych feudalnych

pruskich ,,Deutschnationale'' naprawdę nowożytne, współczesne stronnictwo konserwatywne, rozumiem dużo lepiej, jaką katastrofą dla Polski był fakt, że Radziwiłł poświęcił się temu zadaniu, a nie dyplomacji.

Była jeszcze i inna przyczyna tej absolutnej bierności Radziwiłła w sprawach organizacyjnych, a raczej były ich dwie. Jedną była jakby nowa wersja starej tezy: Polska nierządem stoi. Wersja ta brzmiała: konserwatyści słabością stoją. Janusz Radziwiłł nie wierzył, by konserwatyści mogli stać o własnych siłach, by mogli być czymś więcej niż bluszczem, nie wierzył w ich solidarność, nie wierzył, by się oparli urokom antysemityzmu i nacjonalizmu endecji, nie wierzył by mogli oddziaływać inaczej, niż ukrytymi wpływami. Wierzył, jak większość ludzi z jego sfery, w ,,stosunki'', wierzył też w układność, w kompromisy, a nie w walkę polityczną. Pod tym względem miał w pewnym sensie rację. Jego pesymistyczna ocena konserwatywnych możliwości i układu sił w BBWR była bliższa prawdy, niż entujazmy Stanisława Mackiewicza. Ale przeceniał on znaczenie konserwatyzmu Piłsudskiego, a zwłaszcza Sławka. Zawsze z lubością powtarzał, że nie zna większego konserwatysty od Sławka. Tak było w istocie, ale Radziwiłł nie doceniał, jak bardzo ludzie, zaczadzeni mitem władzy, potrafią wszystkie zasady zachowawcze na tym ołtarzu poświęcać. W rezultacie swą deflacją sanacja bardziej zniszczyła polskie klasy posiadające, niż dwudziestoletnie rządy lewicowe potrafiły to zrobić w Czechosłowacji.

Dla ludzi, którzy z nim współpracowali, Janusz Radziwiłł przedstawiał i inne defekty. Nie były to cechy czysto osobiste, znacznie bardziej były one i są typowe dla magnaterii, zarówno rodowej, jak i dla ,,magnatów'', którzy wyskoczyli z elity legionowej i wojskowej czy nawet dyplomatycznej. Nie tylko Edward Raczyński, niepisany wódz konserwatystów na emigracji, jest pod tym względem do Radziwiłła arcypodobny (choć jednocześnie bardziej dynamiczny i ambitny od niego, a równocześnie znacznie bardziej urzędniczy), ale tak samo przypominali czy przypominają temperament Radziwiłła i Sikorski, i Sosnkowski, i Anders, i August Zaleski. Ulubieńcami Radziwiłła byli ludzie typu urzędniczego, i w końcu jego jedynym suflerem, sekretarzem osobistym, sekretarzem stronnictwa i redaktorem ,,Czasu'' został Jaś Moszyński, zapewne jedyny człowiek, którego Radziwiłł kiedykolwiek kochał poza najbliższą rodziną. Otóż Jaś Moszyński był przezacnym i inteligentnym chłopakiem, ale bezbarwnym, ale pozbawionym jakiejkowiek dynamiki. Poza tym Radziwiłł lubił gogusiów, układnych chłopczyków, którzy go bawili, dobrze polowali lub mieli jakieś bardzo taniutkie walory towarzyskie. Natomiast indywidualności czy intelektualistów wśród konserwatystów nie znosił, i nie miał do nich żadnego zaufania. Nie rozumiał, że do ludzi wybitniejszych, zdolniejszych trzeba się nagiąć, trzeba się napracować, by z nimi mieć możliwe stosunki, że trzeba się zdobyć na odpowiedni wysiłek. Radziwiłł nie lubił Mackiewicza, nie lubił też Łubieńskiego,

który już był dla niego zanadto myślący, zanadto kombinujący, zanadto indywidualny. Wolał nicość urzędniczą od dobrego publicysty. Wolał konformizm i nudę od nieuniknionych kłopotów, które się ma, gdy się współpracuje z indywidualnościami. Jedyny wyjątek robił na rzecz lewicowców. Miał sentyment dla Niedziałkowskiego. Dawniej mówiło się, że każdy szlachcic musi mieć swego Żyda, dzisiaj powiedziałbym, że każdy magnat, czy dygnitarz musi mieć swego ,,lewicowca''. Skrzyński miał Łukasiewicza, Radziwiłł emablował Niedziałkowskiego, Raczyński ma febla do Ciołkosza. Wybór ten świadczy, że Skrzyński był jednak od swych błękitnych (i autentyczniejszych) rywali o klasę gorszy.

Ale Radziwiłł nie był czynnikiem niezależnym. Nad nim stał Sławek, i Sławek, nie Radziwiłł, decydował o doborze posłów konserwatywnych, on też musiał każdą inicjatywę sekretarza konserwy zaaprobować. Tak więc Łubieński bardzo szybko z racji swych funkcji zetknął się ze Sławkiem i z całym aparatem BBWR.

O ile Radziwiłł wszystko na ogół rozumiał, i trafnie rozumiał, ale nie miał talentów realizacyjnych, o tyle o Sławku trzeba powiedzieć, że to był człowiek, który nie rozumiał absolutnie nic. Byłem obecny na kilku rozmowach, które Sławek odbywał z politykami konserwatywnymi, i za każdym razem odnosiłem wrażenie zupełnej bezradności tego człowieka. Coś bajał o ulach, o pasiekach, o łapaniu ryb: wszystko to nie miało żadnego składu ani sensu, ani celu, ani znaczenia. Nawet emigracyjne wielkości, jak np. Jundziłł Baliński, robią wrażenie lepsze niż Sławek, bardziej konkretne, bardziej realistyczne, bardziej do rzeczy. Każdy ustrój polityczny opiera się w gruncie rzeczy na KOOPTACJI: wybory są zawsze nominalne, w rzeczy samej sztaby partyjne dokooptywują swój narybek, i ta funkcja jest najważniejszą czynnością przywódcy partyjnego. We Francji III Republiki, a zresztą i dzisiaj, każdy minister ma swój ,,gabinet'', którego członkowie rekrutują się spośród dziennikarzy, docentów (*agrégés de l'Université*) etc, kandydatów na posłów i na czynnych polityków: ci członkowie gabinetu nie należą do normalnej hierarchii urzędniczej, ale zapoznają się z problemami, z administracją, z personelem rządzącym, i potem w ogromnej większości z nich się rekrutują nowi kandydaci na posłów. W Anglii jest trochę inaczej: o wyborze, zazwyczaj już bardzo młodo, kandydatów na posłów decydują normalnie Eton i Oxford, stosunki rodzinne i koligacje z arystokracją czy City, ale potem taki młody poseł konserwatywny zostaje PPS (*parliamentary private secretary*) ministra czy wiceministra i z tego tytułu zapoznaje się z odpowiednim resortem, a jednocześnie informuje swych kolegów posłów o planach i pracach swego pryncypała, jego zaś o nastrojach w izbie gmin. Wszyscy angielscy mężowie stanu bodaj w ten sposób sposób wstąpili w szranki: Eden był PPS Austin Chamberlaina, Lord Home Neville'a Chamberlaina itd. Zawsze uważałem, że co w Polsce najbardziej szwankowało

— to przeszkolenie młodzieży PO studiach wyższych: ale nigdzie to przeszkolenie nie wyglądało katastrofalniej, jak tam gdzie jest ono najtrudniejsze i najbardziej potrzebne, to znaczy w parlamencie i w polskim życiu publicznym.

Partie tradycyjne — Narodowa Demokracja, ludowcy, PPS — ukształtowane poza systemem polskich rządów rekrutowały swą młódź poselską z szeregów partyjnych: mandat był nagrodą za wierność wobec władz centralnych; stąd sztaby poselskie tych partii znajdowały się w trudnej sytuacji, gdy miały okazję obsadzania stanowisk ministerialnych, bo były jednostronnie obciążone ,,aparatczykami'' partyjnymi, bez doświadczenia administracyjnego: i stąd dziwoląg ,,ministrów fachowych'' w gabinetach partyjnych, nominacje generałów, zawodowych dyplomatów czy nawet ekspertów finansowych na stanowiska ministrów spraw wojskowych, spraw zagranicznych czy skarbu w rządach Witosa, czy tym bardziej Grabskiego lub Nowaka. Otóż Sławek miał doskonałą okazję, by sobie narybek poselski wychować i by wreszcie rozpocząć konieczną symbiozę między administracją a Izbą Poselską. Nigdy mu to nawet nie przyszło do głowy. W dobieraniu posłów, podobnie jak we wszystkich problemach, biedny, a raczej nieszczęsny Sławek obracał się w całkowitej próżni. Wbrew własnej i Piłsudskiego woli, nawet nie rozumiejąc i nie widząc jak się to stało, Sławek zrobił z Polski Jowiałówkę dla oficerów i urzędników, a posłów zdegradował do roli figurantów i maszyn do głosowania, względnie ,,chadatajow po dielam''. Od 1930 do 1935 r. Sejm, i jeszcze bardziej BBWR, spał, zupełnie martwy i strupieszały. Posłów Sławek dobierał sobie sam: udział Radziwiłła w desygnowaniu posłów konserwatywnych był właściwie zupełnie fikcyjny. A Sławek dobierał ich według przedziwnych kryteriów. Gros z nich rekrutowało się z Legionów i innych formacyj piłsudczykowskich — i tutaj decydowały nie ich kwalifikacje, ale numer pułku, zachowanie się w czasie kryzysu Legionów, jakieś sitwy i powiązania: rozum i zdolności czy wyrobienie odegrywały rolę najmniejszą. Chociaż reżym pomajowy był w gruncie rzeczy wyrazem klasy oficerskiej, która stanowiła jego kręgosłup, Sławek, zapewne z inspiracji samego Piłsudskiego, robił co mógł, by tę wąziutką podstawę jeszcze zwęzić: odrzucał np. oficerów rezerwy, którzy, jak np. Łubieński, zgłosili się na ochotnika w 1919 czy 1920 r., zostali odznaczeni czy nawet ranni. To wszystko nic nie znaczyło — trzeba było być oficerem Legionów czy POW, reszta nie istniała. Nawet własnych peowiaków czy legionistów dzielił Sławek na gorszych i lepszych. W tym systemie oczywiście nie było miejsca na całe pokolenie urodzone w dwudziestym wieku, i stąd całe to pokolenie Sławek odtrącił. Potem na gwałt próbowano brak ten zastąpić improwizacjami, Legionem Młodych naprzód, a gdy ten zawiódł kompletnie, kumaniem się z oenerowcami. Był to spektakl przygnębiający, *c'est le moins qu'on puisse dire!*

Jeszcze bardziej prymitywne zasady stosował Sławek przy

doborze posłów konserwatywnych. Witał jakby radośnie magnatów: Radziwiłła, Eustachego Sapiehę, Artura Tarnowskiego. Akceptował, niechętnie i z urazem, tak zwanych przedstawicieli życia gospodarczego, czyli po prostu Lewiatana: Hołyńskiego, Minkowskiego i innych, z reguły eliminując wszystkich wybitniejszych i bardziej niezależnych, wybierając raczej urzędników kartelowych. A wreszcie faworyzował małych ziemian z najgłębszej prowincji, ludzi poczciwych, zacnych, ale o formacie nawet nie powiatowym, ale gminnym, wąsaczów z wytrzeszczonymi oczami, których horyzonty nie sięgały poza Sieradz. Mógłbym tu przytoczyć dziesiątki nazwisk: przez litość z tego rezygnuję. Ale inteligentów konserwatywnych Sławek nie znosił. W ogóle nie lubił on intelektualistów, ale poseł konserwatywny, nie będący ziemianinem lub milionerem, wydawał mu się naruszeniem porządku świata. Tolerował jednego Mackiewicza, choć go nie lubił, ale wiedział, że ten miał dostęp do samego ,,Pana Marszałka'' czy raczej ,,Komendanta'', jak się zawsze z afektacją wyrażał. Toteż szanse Łubieńskiego dostania się do Sejmu czy rozwinięcia jakiejkolwiek aktywności w ramach BBWR były za Sławka zupełnie iluzoryczne.

Lecz każdy ciężko rozstaje się z ukochanymi złudzeniami. Łubieński przez blisko 10 lat walczył uparcie o mandat poselski. Wobec braku jakiegolwiek życia organizacyjnego i masowego, czy to konserwy, czy BBWR z konieczności jego działalność przybierała anormalne formy, właściwe Polsce sanacyjnej: tak zwanych kontaktów z dysponentami władzy i faworów. Ta praca jałowa, ale której się poświęcały setki młodych i zdolnych ludzi w orbicie sanacyjnej, dała mu jedno: głęboką znajomość personalii, mafii, klik, i w ogóle zwierzęcia politycznego. Łubieński wniósł w tę pracę i zainteresowanie, i zdolność obserwacyjną, i umiejętność słuchania, i trzeźwość oceny, i wreszcie doskonałą pamięć. Pamiętam jak po latach bawiło mnie w Maisons-Laffitte przysłuchiwanie się rozmowie Łubieńskiego z Giedroyciem: obaj bez pudła umiejscawiali nawet Zapasiewicza, nawet umieli stwierdzić, czy Hoppe był ,,człowiekiem'' Sławka czy Prystora.

Gdyby Sławek w 1935 r. nie zmienił ordynacji wyborczej, która z parlamentu zrobiła karykaturę, lecz trzymał się dawnej, choćby bez proporcjonalności, i gdyby zaryzykował wciągnięcie młodych posłów i z Myśli Mocarstwowej i z Legionu Młodych, to by Ozon nie był zmuszony już w rok później błagać wszystkich oenerowców o współpracę i aprobatę. No, ale do śmierci Sławek tego nie zrozumiał, jak i wszystkich innych swych katastroficznych błędów. Sam zapłacił samobójstwem swą predylekcję do starościńskich i wojskowych nicości. Można powiedzieć, że osobiście takie rozwiązanie jest ,,honorowe'': ale co jest warte politycznie?

Łubieński miał pogodne, optymistyczne usposobienie: nie był to typ samoanalityka, który normalnie wpada w hipochondrię. Z wrodzonym sobie realizmem uznał, że z marzeń poselskich trzeba skwitować, rozstał się też gładko i bez tragedii z sekretariatem konserwy, i nawet nie zachował żalu ani do Sławka ani do Radziwiłła. Rzucił się natomiast z furią do nowej pracy, w której był dotąd tylko wolontariuszem i to dorywczym, mianowicie do reporterki politycznej.

Kiedy dokładnie stał się on reporterem warszawskim ,,Słowa'' Stanisława Mackiewicza nawet ja nie umiałbym powiedzieć. Jakoś zaraz po fatalnych wyborach 1935 r. Staś Mackiewicz musiał mu powiedzieć: ,,A może byś spróbował coś nam przetelefonować z Sejmu, gdy będzie coś ciekawego?''. Łubieński spróbował i w ciągu kilku tygodni stał się filarem ,,Słowa'', twórcą sensacji, twórcą nowego *genre*'u dziennikarskiego w Polsce, stał się potentatem, przed którym wielu polityków i działaczy drżało, którego informacje, proroctwa, domysły, plotki przedrukowała dzień w dzień cała prasa polska. Rzadko kiedy w Polsce widziano równie świetną i równie błyskawiczną karierę dziennikarską.

Uśmiechnęło mu się wówczas szczęście, bez którego w życiu niczego nie można dokonać. Staś Mackiewicz zdecydował się wówczas nareszcie dać spokój swej wierności obozowi ,,Wielkiego Marszałka'', przestał też nareszcie odgrywać smętną i niepopłacalną rolę waleta Sławka. Co więcej, sam utracił mandat poselski, i w związku z tym przestał sam z Warszawy spełniać rolę reportera politycznego. Po wtóre obraz prasy w Polsce wyglądał wówczas słabo, konkurencji tak dobrze jak nie było. W parę miesięcy później, w kwietniu 1936 roku, Matuszewski wyleciał z ,,Gazety Polskiej'', dzięki połączonym wysiłkom Kwiatkowskiego, Mościckiego, Rydza i Becka: i pismo to, dotąd doskonałe, stało się domeną jakichś piramidalnych nudziarzy, tak zwanych ideologów, pomimo nominalnej redakcji wytrawnego dziennikarza, Miedzińskiego. Jest swoją drogą rzeczą przedziwną, że pomimo katastrofy finansowej wszystkich tego typu rezonerskich dzienników i periodyków, ciągle się znajdują politycy, rządy, działacze czy wodzowie, którzy w ten sposób trwonią własne czy publiczne pieniądze, choć setki doświadczeń pouczają ich o braku wszelkiego echa takich elukubracji: widocznie więc wydawanie rozwlekłych i przenudnych, grafomańskich wypocin ,,ideologów'' odpowiada — tak samo jak przenudne akademie 3-majowe, 12-majowe, 11-listopadowe etc. — jakimś tajemniczym instynktom narodowym. Myślę osobiście, że po prostu to beznadziejne ględzenie, pompatyczne i nadęte, ma przesłonić naszym szaraczkom ich brak inteligencji i wykształcenia. Gdy czytają te nudziarstwa, lub słuchają tych oklepanych frazesów mogą sobie, zasypiając, mamrotać: no ten, nie jest mądrzejszy ode mnie, i jabym tak potrafił. Zresztą to cecha nie tylko polska.

Jako reporter polityczny, Łubieński tak dobrze jak nie miał wówczas konkurencji: bo poza sprawozdawcą syjonistycznego ,,Naszego Przeglądu'', Regnisem (Singerem), nie było wówczas w Polsce nikogo. Prasa opozycyjna kontentowała się kazaniami

partyjnymi, artykułami pryncypialnymi i ,,ideologią'', słowem zanudzała czytelników. Prasa sanacyjna staczała się co dzień do coraz głębszych nizin: dość powiedzieć że luminarzami jej ,,informacji politycznej'' były nicości w rodzaju Wrzosa. Łubieński wpadł też na pomysł prosty, ale procentujący: wykrył czy wyczuł, że publiczność nie chce polemik z opozycją, nie chce też domysłów na temat, co myśli ten czy inny matador opozycyjny, lecz że żąda, że jest spragniona wiedzieć, co się dzieje w obozie rządowym, jeżeli już nie w samym rządzie. A wiedziano tyle tylko, że PAT co dzień uroczyście donosił, iż ,,Pan Prezydent (naturalnie ten niepotrzebny PAN musiał zawsze figurować.) przyjął posła Gwatemali, który Mu (,,Mu'' przez wielką literę — co za kretynizm!) wręczył listy uwierzytelniające'', lub że ,,Minister Beck'' konferował *z chargé d'affaires'*m Portugalii (znowuż błąd, bo oczywiście ,,minister Beck'' nigdy nie istniał — istniał tylko p. J. Beck, minister spraw zagranicznych; pisanie min. i nazwisko, np. min. Lloyd, co z upodobaniem robi analfabetyczny ,,Dziennik Polski'', nie tylko za Kirkiena, ale i za jego następców, jest występkiem przeciwko językowi polskiemu, istnieje tylko p. Selwyn Lloyd, ongi *Foreign Secretary*, a dzisiaj kanclerz szachownicy). Wracając do kochanego Łubieńskiego: wpadł on na pomysł niezmiernie prosty podawania w swym telefonie z Warszawy (który wkrótce zajął prawie całą pierwszą stronę wileńskiego ,,Słowa'') tego wszystkiego — i to bez retuszu — co się mówiło po kawiarniach i korytarzach ministerialnych. A że Łubieński miał kolosalne stosunki, znał wszystkich, jak się to mówiło, wiedział naprawdę (a nie z podtytułu) co w trawie piszczy, a poza tym umiał swe informacje zestrzelić w jedną całość, nadać im sens i kierunek, przeto czytelnik miał wrażenie, że znalazł się w loży, skąd mógł oglądać zawiłe kontredanse obozu sanacyjnego.

Dzięki współpracy Mackiewicza i Łubieńskiego ,,Słowo'' stało się pismem cytowanym przez całą resztę prasy polskiej: zwłaszcza król wieczorniaków warszawskich, St. Strzetelski, gęsto i obficie korzystał z informacji Łubieńskiego, niemal co dzień je omal *in extenso* przedrukowując.. Były to zapewne najszczęśliwsze lata w życiu Łubieńskiego: miał pracę, którą lubił, która dawała mu rozgłos, sytuację i pozwalała mu utrzymywać rozległe stosunki — od Faltera i Wellisza, do Polakiewicza i Koca, od Matuszewskiego i Radziwiłła aż do — Bolesława Piaseckiego. Mackiewicz był na tyle rozumny, że go nie cenzurował, pozwalał mu pisać co chce i jak chce, choć miał z powodu telefonów Łubieńskiego tysiączne awantury i przykrości, nie tylko od wrogów, ale i od najbliższych przyjaciół, którzy nie mogli odżałować, iż ich misterne intrygi i kombinacje były wywalane ,,kawa na ławę''. Dopiero na emigracji Mackiewicz zapomniał, że każda cenzura redakcyjna w sposób nieunikniony zabija nawet najlepsze pismo, z najlepszych współpracowników robi gryzipiórków i zawodowych nudziarzy, i zaczął sam się bawić w cenzora, niczym ,,gwiazdory'' prasy emigracyjnej, wychowani w takich akademiach smorgońskich, jak ,,Iskra'', ,,ATE'' czy ,,Czerwoniaki''. I naturalnie Mackiewicz musiał położyć swoje własne ,,Lwów i Wilno'', bo taki musi być koniec każdego pisma, które nie uznaje wolności słowa swych współpracowników: przestaje być periodykiem a staje się biurem, urzędem, urzędzem, więzieniem myśli, karykaturą organu opinii publicznej. Redaktor-cenzor jest jeszcze gorszy od cenzora *tout court*. Z cenzurą sanacyjną Łubieński bardzo zgrabnie dawał sobie rady, choć było to arcy-trudne zadanie, ale umiał przemycić myśli czy informacje ,,zdrożne'' pod niewinnym tytułem. Ale z redaktorem opętanym ambicją zostania nowym Pelikanem czy Nowosilcowym — a takimi, z wyjątkiem Giedroycia (*et encore!*), są dzisiaj wszyscy nasi redaktorzy na emigracji — żaden dziennikarz, żaden reporter, żaden publicysta nie da sobie rady: tym się właśnie tłumaczy, dlaczego nasza prasa emigracyjna stale bokami robi, choć emigracja żyje w krajach fantastycznej *prosperity*, choć jej dochody, w porównaniu z okresem sprzed dziesięciu laty, wielokrotnie wzrosły.

Mackiewicz ówczesny dawał nie tylko Łubieńskiemu pełną wolność wypowiedzi, oraz oczywiście pełną swobodę poruszania się, wolność od jakichkolwiek godzin biurowych, i tym podobnych starościńskich nonsensów, które w pracy dziennikarskiej są absolutnym kryminałem, ale także — jak na nędzarską Polskę — wspaniałe pobory, które pozwalały mu żyć beztrosko, dużo podróżować i utrzymywać bardzo rozległe stosunki. A bez tego oczywiście nie ma reporterki politycznej, ani żadnej innej. Wystarczy przejrzeć jakiekolwiek pismo emigracyjne, by od razu wiedzieć, że jego współpracownicy to są nędzarze, którzy odwalają kawałki w jakiejś nędznej suterynie, nie mają ani na kawę, ani na stosunki, ani na podróże, są głodni i źli, i wiecznie zatroskani o przyszłość, która może im wróżyć tylko śmierć głodową.

Trudno było o większy kontrast dwóch ludzi, niż Mackiewicza i Łubieńskiego. Mackiewicz był wielokrotnie zdolniejszy, był człowiekiem dużo większego formatu, był dużo silniejszą indywidualnością, zapewne najsilniejszą indywidualnością obozu sanacyjnego. Był wielkim publicystą, nawet wielkim pisarzem. Ale Łubieński górował nad Mackiewiczem, jeżeli chodzi o zdrowy rozsądek. Miał go wielokrotnie więcej. Pomijam stosunek do Piłsudskiego: prawdziwy fanatyzm, który Mackiewicz wobec ,,Wielkiego Marszałka'' odczuwał, wynikał nie tylko z jego poglądów, z jego romantycznych urojeń, z jego nietscheańskiego gustu do dramatyzowania i personifikowania historii, ale chyba w jeszcze większym stopniu z jego patriotyzmu wileńskiego. Mackiewicz był zawsze bardziej patriotą wileńskim i litewskim (a właściwie wielkoksiążęcym) niż ogólno-polskim, i myślę, że właśnie wileńskość Piłsudskiego była tym momentem, który najbardziej decydował o jego prawdziwym kulcie i przywiązaniu do dyktatora. Natomiast zawsze się dziwiłem sentymentowi Łubiańskiego, człowieka tak trzeźwego i w gruncie rzeczy mało

sentymentalnego, do Piłsudskiego, nie tylko przed wrześniem, co jeszcze można zrozumieć, ale i po wojnie, kiedy to rozmiary i głębia naszej katastrofy były przecież dla wszystkich, oprócz kilku obłąkańców, arcyjasne. Tłumaczę to sobie znowuż atmosferą krakowską, w której wyrósł Łubieński: był on uczniem gimnazjalnym, gdy wyruszała kadrówka, i to musiało oddziałać na wyobraźnię młodego chłopca. A wiadomo, że my, Polacy, jakoś dziwnie pozostajemy wierni tym dziecinnym czy młodzieńczym wrażeniom.

Natomiast Łubieński w najmniejszym stopniu nie podzielał zupełnie fantazyjnych poglądów Mackiewicza na Sławka, w którym upatrywał nie Zawiszę Czarnego plus nowego Cyda, ale słusznie widział w nim tylko zacnego safandułę. Podobnież nie demonizował Grażyńskiego i ,,Naprawy'', jak to wiecznie robił Mackiewicz, głównie na podstawie jakichś reminiscencyj czy urazów z okresu lat studenckich: rozumiał doskonale, że polityka na Śląsku, tak jak i w Gdańsku, była dziełem samego Becka i jego rzekomego ,,makiawelizmu'', a nie podrzędnych oficjalistów. Podobnież wyśmiewał się z jakiegoś rzekomego konfliktu Sławek-Prystor, który się ciągle roił Mackiewiczowi. Nie brał na serio rozdźwięków Mościcki-Rydz: wiedział, że poza normalnymi tarciami personalnymi nic ich w gruncie rzeczy nie dzieliło. Nie wierzył w tak zwany kurs liberalny Mościckiego i Kwiatkowskiego, sądził że chodziło o pozory, że żaden z nich nie miał dość indywidualności, by się od monopolu władzy oderwać. Znacznie trafniej, niż Mackiewicz zdawał sobie Łubieński sprawę, że reżym przestał być polityczny, lecz stał się tylko wyrazem sfery urzędniczej, a życie polityczne ograniczało się tylko do rozgrywek między dygnitarzami czy nawet tylko biurokratami. W przeciwieństwie do obu swych bliskich kuzynów — od których był dużo wytrawniejszy — a którzy należeli do najbliższych wyznawców i współpracowników Becka, Henryk Łubieński nie miał złudzeń co do tej katastrofalnej postaci.

Ale nade wszystko Łubieński tysiąckrotnie ostrzegał Macwiekicza, że jego napaści na Rydza skończą się, jak się skończyły zesłaniem go do Berezy. Łubieński nie miał żadnych sympatii ani uznania dla Rydza, ale znał zbyt dobrze ówczesnych bezpieczników. Łubieński przestrzegał więc sto tysięcy razy Mackiewicza, że bezpiecznicy i łapsy reżymowi mniej mu zarzucają to, co pisał, niż to co wygadywał na Rydza u Simona i Steckiego i w innych knajpach warszawskich, niby to szeptem, a w rzeczywistości ryczą, tak, że głos Stasia rozlegał się aż na Krakowskim Przedmieściu. Łubieński, jako człowiek trzeźwy, nie miał nigdy najmniejszej żyłki do masochizmu. natomiast Staś Mackiewicz, który ten masochizm i instynkt samobójczy naszego narodu tak piętnuje w ,,Zielonych Oczach'' i innych książkach, sam był nań podatny w najwyższym stopniu, chciał koniecznie być całe życie męczennikiem. Przewidywania Łubieńskiego sprawdziły się do joty.

W przede dniu wojny Łubieński znajdował się w Berlinie. Nie podzielał on złudzeń Wierzbowej, która sądziła naiwnie, iż Hitler tylko bluffuje, uważał wojnę za murowaną, i nie robił sobie też złudzeń co do jej wyniku. Z Berlina zdołał zbiec do Kopenhagi, stamtąd przedostać się do Londynu, skąd niebawem wyruszył do armii we Francji, jako porucznik rezerwy. I oto raz jeszcze przypadek pokierował jego losami. Wraz ze swym rozbitym oddziałem Łubieński dostał się do Brestu w pół godziny po odejściu ostatniego statku do Anglii: zdążył tylko zmienić mundur na ubranie cywilne i w ten sposób uniknąć niewoli niemieckiej. Z Bretanii przedostał się do nieokupowanego wówczas Vichy. Tam zmobilizował go zaraz gen. Kleeberg, i wciągnął do podziemnej dwójki, która pracowała we Francji. Niebawem przerzucono go do Algieru, jako oficera informacyjnego: świetnie znał język francuski i miał paszport na nazwisko francuskie, o ile mnie pamięć nie myli na M. Henri Lefèvre, kupca z Lille. Doczekał się tam desantu Eisenhowera w Północnej Afryce, i pierwszym krążownikiem angielskim, odesłano go Anglii, do dyspozycji ,,Naczelnego Wodza''. Gdyby nie to spóźnienie o pół godziny w Brest, Łubieński dotarłby już w 1940 r. do Londynu, i ta zmiana może wpłynęłaby poważnie na jego dalsze losy, a w każdym razie zupełnie inaczej ułożyłaby jego życie prywatne, na pewno dużo pomyślniej.

W dwójce Łubieński odznaczał się tymiż walorami, które cechowały go jako dziennikarza: spokojem, rozsądkiem, taktem, dyskrecją, łatwością nawiązywania kontaktów, umiejętnością obchodzenia się z przełożonymi, z których zawsze sobie bimbał, ale umiał zawsze zażywać, jak tabaki. Nie miał *des idées préconçues*, jak ja, co do oficerów, ale orientował się w mentalności zawodowego oficera równie dobrze, jak dawniej w mentalności plebanów — zresztą dodawał, że obie są podobne. ,,Próżność, mój drogi, nieraz mi mówił, próżność jest główną cechą normalnego oficera. Próżność i niewyżycie się — to są wszystko zapoznane geniusze, każdy z nich chce bajać o sobie, o swych zasługach, i o tym, że wszystko przewidział, i że mu się krzywda dzieje, i że jakiś drań X czy Y świnię mu podpuszcza itd. Trzeba tych bredni słuchać poważnie, i udawać, że się wszystko bierze za dobrą monetę; wówczas można facetulka okręcić dookoła małego palca. Inna sprawa, że potem każda zasługa będzie zawsze na kredyt twego szefa, a każdy wpadunek idzie na Twój debet''. — Ale, jak zwykle, Łubieński szybko zapominał o niemiłych wrażeniach i przeżyciach: zawdzięczał to wesołemu usposobieniu i temperamentowi Łubieńskich. Śmiał się też z tych wszystkich X 27, i bagatelizował znaczenie wywiadów. ,,Wielka bujda, mawiał. Jedyna rzecz realna — to wykradzenie dokumentów, a i to, co to właściwie daje... A już te wszystkie podsłuchy czy już zwłaszcza agenci i konfidenci, przecież to z reguły jełopy i analfabeci''... Tak samo wyśmiewał się z legend o różnych Mata Hari, słusznie powiadał, że chodzi wówczas tylko o romanse, finansowane

przez pieniądze wywiadu lub kontrwywiadu, bo o takiej cudownej szpiegówce wie zaraz cały świat. ,,Jeżeli kobieta nadaje się na agenta, mówił mi nieraz, to tylko stara i ohydna baba, na którą nikt nie chce patrzeć, taka jeszcze czasem potrafi jakiś potrzebny dokument wykraść. Ale, dodawał, najważniejszym jest własne wyrobienie i znajomość kraju i stosunków, czyli to, co powinno być domeną normalnego dziennikarza: sto razy daje to więcej od wszystkich rzekomo tajnych raportów''. Tam też, w Afryce Północnej, Łubieński spotkał się po raz pierwszy z Amerykanami, i jakoś zawsze umiał do nich trafić, w przeciwieństwie do Anglików i Polaków, naturalizowanych w Stanach a udających super-Amerykanów.

Po kilku miesiącach pracy w Rubensie Łubieńskiego wysłano do Madrytu, oficjalnie na attaché prasowego, faktycznie na attaché wojskowego, albowiem neutralna Hiszpania nie chciała się zgodzić na przydział oficjalnego przedstawiciela naszego wojska do poselstwa naszego w Madrycie. W trudnej sytuacji Łubieński potrafił zręcznie pomagać naszym kurierom w przedostaniu się z okupowanej Francji do Lizbony i Londynu, ułatwiał wysyłkę pieniędzy do kraju poprzez Pireneje. Jak zawsze obrotny i aktywny, taktowny i zgrabny, nie łudził się ani chwili co do sytuacji. Po wyzwoleniu Francji pisał mi z Madrytu, że znaczenie placówki madryckiej siłą rzeczy maleje, i przewidywał najgorszy przebieg wypadków. Chociaż poselstwo nasze w Madrycie cieszyło się nadal *agrément* rządu Franco, Łubieński powoli musiał znaleźć sobie inne źródła utrzymania, bo mizeria finansowa rządu londyńskiego nie pozwalała na utrzymanie kogokolwiek, poza posłem, wówczas (i teraz) Józefem Potockim. Mimochodem wspomnę, że Łubieński nie tylko był zawsze wobec Potockiego lojalny, ale że był mu szczerze oddany, zawsze chwalił jego patriotyzm, doświadczenie, prawość, uczciwość, poświęcenie, jego takt i wyrobienie. Brak zawiści, zazdrości, pretensyj — to była jedna z najsympatyczniejszych cech Łubieńskiego, która czyniła go niezmiernie odpoczywającym — w porównaniu z prawdziwą manią prześladowczą, cechującą prawie wszystkich Polaków, a już specjalnie pisarzy, dziennikarzy, polityków, dyplomatów i wojskowych.

Dziennikarze i pisarze przeważnie nigdy nie chcą słuchać, interesują ich tylko ich własne myśli, własne koncepcje. Pod tym względem prawie wszyscy jesteśmy do siebie podobni: i obaj Mackiewicze, i obaj Nowakowscy, i ja, i Grydzewski, i Sakowski. Otóż pod tym względem Łubieński był wyjątkiem: wolał z własnym zdaniem nie wychylać się z nieznajomymi, robił to tylko w stosunku do przyjaciół, natomiast był gotów słuchać, chyba że stwierdził definitywnie, iż facet nic nie ma do powiedzenia. Większość z nas chce w rozmowie brylować: Łubieński zawsze myślał, czy i na co rozmówca może mu się przydać.

Po końcu wojny emigracja zainstalowała w Londynie dość rozległą, jak na nasze możliwości, prasę. Obsadzono je niefortunnie: wyszukano nie tylko aferzystów, ale i pętaków, jakieś po-

staci blade, wyróżniające się głównie zupełnym brakiem rozsądku, wyrobienia i zwłaszcza talentu. W obsadzaniu tych sztabów prasowych elementy konserwatywne miały raz jeszcze wpływ bardzo znaczny. Przeszukano wszystkie wybiórki z ,,Czerwoniaków'': do Łubieńskiego nie zwrócił się nikt. Polscy politycy konserwatywni pozostali wierni swej doktrynie ignorowania dziennikarzy bez etykiety lewicowej, chociaż wszystko co zostało po wojnie z obozu zachowawczego — to było kilku rozsądnych dyplomatów, którzy rozumieli (choć rzadko śmieli to powiedzieć publicznie), iż Polska musi prowadzić ostrożną, przezorną i trzeźwą politykę zagraniczną, kilku wyrobionych dziennikarzy i publicystów, paru światłych uczonych i kilka ładnych kobiet. Dyplomaci, urzędnicy, profesorowie, i naturalnie wojskowi byli z sobą z grubsza solidarni. Ale dziennikarzy poświęcono natychmiast, jako ,,warchołów'', czy jako znajomych drugiej kategorii. Tak konserwatyści polscy postępują stale od 1918 roku. Sami wyrzekają się swej najlepszej artylerii. I w rezultacie prasa i propaganda polska są stale w rękach Litauerów, tyle tylko że z biegiem czasu coraz bardziej zaściankowych, coraz głupszych.

Łubieński miał wiele talentów, ale jak prawie wszyscy potomkowie rodzin ziemiańskich, i jak bez mała wszyscy zawodowi pisarze i dziennikarze nie miał pojęcia o tak zwanych interesach. Uważam — wbrew zdaniu większości naszych działaczy i redaktorów — że trzeba młodym jak najbardziej odradzać karierę dziennikarską, bo zwykle każdy w niej po paru latach zasmakuje, a po 10 latach staje się do innej pracy niezdolny. Więc jeżeli taki młody człowiek nie ma danych na dziennikarza, wyrządza się mu krzywdę, skazuje się go na wieczne klepanie biedy, a prasę i budżety prasowe obciąża się martwymi pozycjami. Sam w mej karierze, zwłaszcza radiowej w Voice of America, widziałem wiele przypadków werbowania młodych ludzi, którzy nie mieli najmniejszych choćby talencików, najmniejszej smykałki w tym kierunku: było to połączone z ciężką krzywdą nie tylko dla instytucji, które mogły sobie z tego bimbać, ale zwłaszcza z wykolejeniem tych młodych ludzi, którzy może staliby się dobrymi buchalterami czy nadzorcami parku samochodowego jakiejś fabryki, a tymczasem zrobiono z nich grafomanów i ludzi do niczego. Gdy się raz kogoś do dziennikarstwa wciągnęło, powinno mu się do śmierci zapewnić posadę — inaczej skazuje się człowieka na śmierć głodową. A ci, co przeprowadzają takie ,,redukcje'' robią sobie potem najgorszych wrogów, alimentują szeregi ludzi podejrzanych, agentów, szpiegów, malkontentów. ,,Redukcje'' personalne więcej zrobiły sanacji wrogów, niż Brześć i Bereza.

Dość że Łubieński musiał w Madrycie imać się ,,interesów'', by się jakoś utrzymać. Był to na pewno bardzo smutny okres jego życia. ,,Interesy'' skończyły się długami, i później biedak przez lata żył jak najskromniej, najoszczędniej, by te długi spłacić. Na szczęście mu się to udało, choć kosztem heroicznych poświęceń. Pod tym względem nasza emigracja ogro-

mnie korzystnie odbija od poprzedniego pokolenia, kiedy to niepłacenie długów uchodziło w Polsce za rzecz omal szykowną, a w każdym razie normalną. Wśród mych znajomych na wygnaniu nie znam nikogo, kto by tę zgubną filozofię ,,konsumpcyjną'' wyznawał. I uważam, że jest to jeden z najważniejszych kryteriów zdrowia moralnego, wartości charakteru i zadatków na lepszą przyszłość. Sam osobiście nigdy bym i nigdzie nie wysunął nikogo na odpowiedzialne stanowisko, kto by odznaczał się lekkomyślnym stosunkiem do pieniądza i do długów.

Dość że Łubieńskiemu było bardzo ciężko, i gdym się dostał do ,,Voice'' w Monachium nie szczędziłem żadnych wysiłków, by Łubieńskiego tam ściągnąć. Była to jedyna konkretna, realna usługa, którą kiedykolwiek przyjacielowi temu oddałem: ale com się nameczył przy tej okazji! Moim szefem był jakiś nieszczęsny człowiek, którego jedyną kwalifikacją był paszport amerykański: nie tylko że sam nie był w stanie dwóch zdań napisać, nie tylko że nie miał cienia wyobrażenia o tym czym jest prasa czy radio czy propaganda, ale odznaczał się absolutną, idealną nieznajomością świata dziennikarskiego: mniej wiedział o kwalifikacjach na dziennikarza i mniej się orientował w hierarchii polskiego świata dziennikarskiego, niż ja w personaliach rządu pana Lumumby i jego antagonisty pana Tchombé.

Wreszcie w maju 1953 Łubieński zjechał do Monachium, i w ten sposób, ponownie, u schyłku życia znowuż mogliśmy przez rok kolegować. W jakżeż odmiennych warunkach! Nie była to już żadna praca polityczna, po prostu obaj mieliśmy posady. Wymagano od nas tylko byśmy 8 godzin odsiedzieli w biurze, odwalając mechanicznie kawałki, nieprzejawiając żadnej inicjatywy, nie wychylając się nigdy z żadnym zdaniem. Dnie się toczyły szaro i jednostajnie na tłumaczeniu z angielskiego monstrualnie zredagowanych depesz: dopiero dnie wolne przynosiły jakąś przerwę w tej idealnej martwocie. Pamiętam, jak już po 3 dniach Łubieński mi mówił: ,,Mój drogi, widziałem w życiu wiele bezsensownych instytucji, ale takiego dziwologu nie widziałem nigdy''. Było to w pewnym sensie tragiczne: były to najcięższe lata stalinizmu i zimnej wojny, był to okres głębokiego kryzysu w Sowietach, spowodowanego walką o władzę po śmierci Stalina, był to okres, w którym śmiała myśl, śmiała inicjatywa mogły poważnie wpłynąć na ewolucję wypadków. Lecz był to też okres werbalizmu Dullesa, który momentu nie wyzyskał i poza ,,Sunday-preaching'' nigdy się nie wychylił: a zależny od niego ,,Voice'' myślał tylko o satysfakcji szefów, z Dullesem na czele, nigdy o słuchaczach w kraju. Cóż dwaj biedni urzędnicy, zepchani zresztą do rangi ,,lokalnej'', całkowicie zależni od humorów i łask ,,Amerykanów'' (z racji paszportu, bo normalnie nawet nie mówiących po angielsku!), mogli na to poradzić? Ja objeżdżałem góry, i zamki, i jeziora, Łubieński spłacał długi, obaj odwiedzaliśmy umierającego na raka A. Chrząszczewskiego (Jerzego Lipskiego), w niedzielę chodziliśmy do kościoła; między sobą, i jeszcze z Feliksem Chrzanowskim

(bo reszta naszego zespołu składała się z ,,niegramotnych'') wymienialiśmy poglądy polityczne, ale już na poziomie czysto kawiarnianym. Łubieńskiego zainteresowania polityczne nie opuszczały zresztą nigdy. Pamiętam, jak 6 września 1953, w czasie wyborów do Bundestagu, Łubieński i ja staliśmy na wówczas jeszcze zburzonym i opustoszałym Karlsplatz (Stachus) i oglądaliśmy pierwsze w Bawarii pasma świetlne z rezultatami wyborów. Łubieński mieszkał wówczas zaledwie od czterech miesięcy w Niemczech, po niemiecku mówił wówczas bardzo słabo, ale już zdążył — z własnej pilności naturalnie, bo przełożonych naszych taki pomysł mógł był tylko przerazić! — gdzieś pobiegać, pogadać z jakimiś szoferami czy zamiataczami ulic, i, przy pomocy swego ,,nosa'' swego prawdziwego instynktu dziennikarskiego już się orientował w sytuacji. ,,Zobaczysz — prawił z uporem — że Adenauer odniesie ogromne zwycięstwo, kolosalny sukces''. Ja mieszkałem wówczas w Monachium już od lat dwóch, a nie byłem tego tak bardzo pewny, nie wierzyłem w absolutną większość Adenauera. Rezultaty wykazały, że Łubieński, najlepiej wyniki przewidział. Raz jeszcze się przekonałem, że ten człowiek miał skarby rozsądku i wrodzony talent sondowania opinii publicznej.

Jakżeż odmienne były te wspomnienia monachijskie o Henryku od warszawskich! Wówczas roznosiły nas ambicje, ekscytowały nas różne piękności, lataliśmy po Bristolach, tęskniliśmy do Paryża. Teraz dożywaliśmy żywota, jak rozbitki, które dotarły do portu.

Nigdy nie zapomnę, jakim ciosem była dla mnie — wpośród tej całej euforii — ,,redukcja'' Łubieńskiego. Współczułem z głębi serca przyjacielowi, który — tak jak każdy polski dziennikarz — był wobec losu zupełnie bezsilny: podczas gdy każdy nasz kolega, dziennikarz-Niemiec, cóż dopiero Amerykanin, mógł każdej chwili o coś innego się zahaczyć, o co, o kogo, mógł zahaczyć się polski emigrant? Jak rozpoczynać, w tym morzu wrogości i obojętności, nową karierę? Jak znaleźć siły i energię, by raz jeszcze startować? Łubieński siedział struty, milczący, ponury — on, z natury taki wesoły, pogodny, optymistyczny. Odczułem tę redukcję, jako osobisty policzek. Ta redukcja była votum nieufności dla mnie. Była powiedzeniem, jak mało się z moim zdaniem liczono. Czułem i rozumiałem, że jedyną dla mnie właściwą reakcją byłoby natychmiastowe podanie się do dymisji, a jednocześnie nieszczęsny instynkt samozachowawczy paraliżował we mnie tę jedyną zdrową i uczciwą reakcję. I wreszcie było mi głęboko żal mych pracodawców amerykańskich. Prawda, byli to ludzie ograniczeni i bez polotu. Ale ożywiały ich najlepsze intencje. Swoje radiostacje Amerykanie stworzyli w najlepszych, altruistycznych intencjach, pragnąc zmobilizować najlepszych Polaków — dziennikarzy i pisarzy — na emigracji, by jakąś otuchę przynosić okupowanemu krajowi. I oto dzięki fatalnej polityce personalnej, dzięki kompletnej ignorancji stosunków polskich, wyrządzali sobie samym najgorszą

krzywdę, obniżali zaufanie do Ameryki, wpajali, wbrew własnym intencjom a dzięki durakom spod najciemniejszej gwiazdy, przekonanie w swych własnych pracowników, że nie są oni aliantami, lecz tylko najemnikami, zależnymi od kacyków godnych tylko pogardy.

Na szczęście Łubieński zdołał uniknąć śmierci głodowej, dzięki Radiu ,,Wolna Europa''. Został przedstawicielem tej radiostacji w Berlinie: przyjęty z natury rzeczy, dzięki niedźwiedziej usłudze ,,Voice'u'' zrazu omal z łaski, zdołał wkrótce zaskarbić sobie i zaufanie, i szacunek, i przyjaźń nowych szefów, i harmonijnie współpracować z nimi na nowej placówce aż do śmierci. Nigdy go w Berlinie nie odwiedziłem, a od 1954 roku spotykałem Łubieńskiego tylko rzadko, w Monachium lub w Paryżu. Lecz pisał do mnie często. Na nowej, eksponowanej placówce Łubieński odnalazł dawniejsze zainteresowania polityczne: gros listów poświęcał analizie polityki sowieckiej, sytuacji Berlina, ewolucji stosunków niemiecko-sowieckich. Był zawsze trzeźwy. Po pierwszym ultimatum Chruszczowa w sprawie Berlina w listopadzie 1958 roku pisał mi, że Zachodni Berlin będzie można zapewne uratować, lecz że jego rola jako tarana antybolszewickiego, jako placówki promieniującej na Wschód się skończy, pozostanie Berlin, nie będzie przyczółka dla zimnej wojny.

Łubieńskiego widziałem po raz ostatni dwa lata temu w Paryżu. Był zawsze szczupły, miły, uroczy, dobrze ubrany, tylko bardziej łysy i bardziej siwy. Chodziliśmy po ulicach, gdzie mieszkaliśmy przed 35 laty, po kawiarniach, gdzieśmy za tych studenckich lat popijali kawę lub *un petit blanc sec*.

Mówił mi wówczas, że ma raka krwi, wiedział, że jego miesiące są policzone. Jak zawsze, zachowywał całkowity spokój. Prosił mnie tylko, bym nikomu o tym nie mówił: był przeciwieństwem ekshibicjonisty.

Nie byłem przy jego śmierci. Bóg miłosierny sprawił, że był nieprzytomny, w malignie pono tylko wołał: bolszewizm, Free Europe... Do końca pozostał wierny zamiłowaniu do polityki. Zmarł w kieracie, uniknął wózka, inwalidztwa, życia z jałmużny. U łoża umierającego wiernie czuwali żona i syn. Był wciąż aktywny, wciąż zarabiał na siebie, był w zgodzie z Kościołem i jego prawami. Myślę, że nie chciałby innego końca.

Słyszę, że zwłoki Łubieńskiego mają być przewiezione do rodzinnego Zassowa, choć w tamtejszym dworze znajduje się dzisiaj siedziba jakiegoś kołchozu. Był on przywiązany do tego kawałka rodzinnej ziemi, do tego piaszczystego krajobrazu, porosłego smutnymi gruszami polnymi. Myśl o wiecznym spoczynku w tym kącie ziemi rodzinnej na pewno by go ucieszyła. Obecnym ustrojem na pewno się w grobie nie przejmuje: wiedział on zbyt wiele o zmienności dziejów.

W. A. ZBYSZEWSKI

D.P.
·7·
1960

Dotyczy....ŁUBIEŃSKI. Henryk.....
Nr rej. 218 / 60

†
Ś. P.

Henryk ŁUBIEŃSKI

Dziennikarz i publicysta,

korespondent Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy

zmarł w Berlinie dnia 17 lipca 1960

o czym zawiadamiają z głębokim żalem

DYREKCJA I PRACOWNICY

Radia Wolna Europa

8123.